

J. S. POBRATYMIEC
MONOLOGI

VI.



„Dyferencyjo”.
Pechowiec. — Ognisko
domowe. — Chczało
sze Ryfke jagódek. —

POZNAŃ
Nakładem księgarni A. Cybulskiego
1928
Drukarnia „Dziennika Poznańskiego” T. A.

A. CYBULSKI, Księgarnia w Poznaniu

poleca nadto:

Chociszewski. Koszałki Opałki. —,40 zł

„ Pół kopy wesołych opo-
wiadań —,40 zł

Pobratymiec J. S. Baraszk i... Garść
zabawnych facecji, żartów itd. 1,10 zł

Pobratymiec J. S. Monologi, Serja
po —40 zł

ser. I. Pan Organista na godach wesel-
nych. — Przygoda miłosna pana
Sterna. — Miła żonka. — To dla mę-
ża. — W karczmie.

„ II. Wrażenia z wystawy Lwowskiej.
(Opowiadanie Maćka Druzgały). —
Oj, te studenty! — Furimbał z awan-
ture, podsłuchał Adolf Kitschman. —
Co najprzyjemniejsze?

„ III. Sobek Mastela u „męczynosa“. —
Zakochany Mojsze Lewi. — Moja
żoneczka. — Szczęśliwy. — Oświad-
czenie miłości.

„ IV. Sabałowagadka. — Obywatel Przysz-
czykiewicz. — Czarne okolicznoś-
ci. — Złościca.

„ V. Ja tagży byłem w Sokołach. — Gabi-
net osobliwości i Zwierzyniec. —
„Wyczałowanie“. — Owacja. —
Bajeczka Nie Jachowicza.

„ VI. „Dyferencyjo“. — Pechowiec. —
Ognisko domowe. — Chciało sze
Ryłke jagódek.

344

10
84

J. S. POBRATYMIEC

MONOLOGI

VI.



„Dyferencyjo“.
Pechowiec. — Ognisko
domowe. — Chczało
sze Ryfke jagódek. —

P O Z N A Ń

Nakładem księgarni A. Cybulskiego
1928

Drukarnia „Dziennika Poznańskiego“ T. A.

4-23/8261
3.81 601- (1.5, 7)
A. CYBULSKI, Księgarnia w Poznaniu
poleca nadto:

Rakiety. Garść humoru; w tem Monolog
Klemensa Junoszy „Icek kobieciarz“,
z ilustr. —,50 zł

Scena Polska. 8. Monologi. I. . . . 2,— zł

1. Antek-Burżuj (Kroguler). — 2. Dlaczego Jankiel nie wziął Sury? (Prawie autentyczne) (M. Igdalek). — 3. Optymista — 4. Jacenty (Monolog stróża) (Artur Zawadzki). — 5. Pani Pipermenth na wodach w Ciechocinku. (Klemens Junosza). — 6. Kałamarzewski. — 7. Felczer w małym miasteczku. — 8. Pan mecenas w Rypinie (Artur Zawadzki). — 9. Grymasy. — 10. Josel Rajszower, afiszjer (Gustaw Fiszer). — 11. Niech no wezmę „Towarzystwo“ (Monolog pana Jacka) (Nie-Jadam). — 12. Trzech Nie-Budrysów (Bałada Nie-Mickiewicza) (Artur Gliszczyński). — 13. Stary kawaler. — 14. Kujawiak(F-o). — 15. Zaklęcia dziewczyny.

Scena Polska. 9. Monologi. II. . . . 2,— zł

1. Kobieta. (DIALOG p. Grenet Dancourta). — 2. Icek Feinkind rekrutem (Artur Zawadzki). — 3. Marcin Badył przed sądem gminnym (Klemens Junosza). — 4. Moje kieszenie. — 5. Z pamiętników frotera. (Paul de Coś). — 6. Rower i żona. (Fortunio). — 7. Mały totalizator (Fortunio). — 8. Jegomość w czarnym fraku. — 9. Nic nie było. (Adek). — 10. Przeprowadzka. (Leon Choromański). — 11. Pan Izydor Klepfisz na raucie u siebie (Paul de Coś). — 12. Monolog chłopca z gazetami. — 13. Powrót z wyprawy albo Trzy synowe. (Kamerton). — 14. Dziewicze marzenia. (Ludwik Niemojowski). — 15. Nie jestem przy apetycie. (Michał Rodoć).

168565.

I II



„Dyferencyjo“.

Na scenę wchodzi chłopak z batogiem w ręce
i w kapeluszu na głowie. Poczyna:

— Nie wiem cym rakurat trefiuł¹⁾? —
Tu polcyjoooo? — niby urząd polcyjański,
tuuuu? — Gdzie mój kapelus? — a dyć
na głowie. — Skąd? — skądzeby! dyć
z Węglówki, jak i jo. Kupiłem go łońskiego²⁾
roku na jarmaku. Dołem za niego trzy
papierki. — Aha! mom go zdjąć! — (*xdejmuję*)
No, niechze, niechze! — Wydejcie
mi panowie Kaškę Mardulonkę, bo jo juz
chcę odjechać, a przy koniach nie mom
kogo zostawić.

— Jakze mom godać inacej? Dyć³⁾ prosię
wysokiego sądu, wszyćko juz wypowiedzio-
łem. Kaškę mi wydejcie, i tako jest cało
dyferencyjo!

¹⁾ akuratnie trafił. ²⁾ zeszłego. ³⁾ przecie.

— Nie wie pon konwisorz o co mi sie rozchodzi? a dyć o Mardulonke!

— A któż mo lepiej wiedzieć, jak panowie w tym urzędzie, skoroście ją tutaj kasik¹⁾ w mieście przymkli, a jo sie mom z nią po Zielonych Świętach żynić. — Nazywom się Symek Groc od Dulnioka, z Kośmidrowej roli, lumero ośmidziesiąt drugie, cworty dom od potoka, i cało dyferencyjo.

— No, nie kora bosko! — to jesce wom mało tego? — a no to powiem wszycko od pocatku: jo jestem Symek Groc, syn Pyrtuliny od Dulnioka, z Kośmidrowej role, lumero ośmidziesiąt drugie, cworty dom od potoka. A Kaśka Mardulonka jest córka Marduliny, tej, co jej to przed dwiema rokami koń kopytem zęba wybiuł, i rozcion warge, ale sie jej zagoiło.

— Jesce wom źle? — a dyć godom wszycko jak sami chcecie. — (No, to dobrze. Potrafie godać i po krótkości.) Toli²⁾ jo Symek Groc.. (aha! tego nie godać!) a Kaśka moja Mardulonka.. (no! juz dobrze!

¹⁾ gdzieś. ²⁾ toć.

juz dobrze!) więc ino — na to mówięcy — my obacwaj momy sie żyć po Świętkach i przyjechaliśmy tu ze wsi kupić jakiego spirytusu z mąką światłą na kołoce. (No, dyć będzie. I krócej będzie, ino zackojcie!) Tak co sie nie robi, w składzie u zydka Hamersłaga upiła Kaśka spirytusu z jednej flaki przy probacyji, upił jo z drugiej, una z trzeciej... (Raty boskie! dyć sie niech pon konwisorz tak nie piżdzi¹⁾ bo i na to przydziemy.) — (Nie macie casu? a dyć i jo tez nie mom casu, bo mi tam kunie uciekną, a cas tryżnię²⁾ z wami. — No, dyć dobrze, dyć dobrze.) — Tak co sie nie robi, po tej probacyji Kaśka dostała runieńcy. (Przeprosom wielemożnego pana konwisorza i prześwietną kanczalaryję, jak mi tak pon konwisorz będzie ciągle przeskoźoł, to i do wiecora nie skońcę.) — (No, dyć dobrze! no, dyć dobrze! — Krótko a węzłowato powiem.) — Kaśka dostała runieńcy i ocy sie jej zacyny śmioć. Tak, co sie nie robi, przysed tam jeden polcyjon, niby państwowy. Jo go znom. Strasny

¹⁾ szarpie. ²⁾ marnuję.

goniac¹⁾! Różne słyny²⁾ tam chodzą o nim u nos we wsi. Przyjdzie na patrol, to nikandy³⁾ nie śpi, telko u... (Aha! prze-prosom wielemożny sąd. Już dobrze! już dobrze!) — Tak, co sie nie robi, ten kujon⁴⁾ zaczon mi sie do Kaški przystowiać, a una — jak dzieucha — susy do niego zęby, bo nie wiy co to dyferencyjo. Tak un zaś jest coraz to noremniejszy. Więc mnie jankor zaczon wątrobe porusać. Nie mogem sie powstrzymać, więc go tyrknułem końduś⁵⁾ coby sie mi do Kaški nie zabierał.

— Ale, broń Boze! panie konwisorzu! Jo nie jestem żoden bitnik. Tylko go tak tyrknułem kapke, ze ku ścianie podleciół w tył. — Tak un dopiero chrast mnie w pysk. — Jo, nic. — Un chrast mnie drugi roz. — Jo nic. — Tak un trzeci roz. Jakem sie w tej cas rozpajedziół,⁶⁾ jak sie nie odwine, — a tu inni skoczyli do mnie i tu dziś prowadzą mnie do pańciawy⁷⁾. Tak co sie nie robi: prowadzą

¹⁾ na kobieły zawzięty. ²⁾ wieści. ³⁾ nigdzie. ⁴⁾ nazwa obelżywa. ⁵⁾ trącił troszkę. ⁶⁾ wten-czas rozżłościł. ⁷⁾ aresztu.

mnie i prowadzą; tu cało procesyjo ludzi kole¹⁾ mnie, — jak sie nie zwyrtnę,²⁾ jak nie zrobie dęba,³⁾ tele⁴⁾ (*pokazuje figę*) mnie widzieli. — Ale gdzie moja Kaśka? — w tem jest dyferencyjo cało.

— Co chcioł od niej? — a dyćiem pedzioł⁵⁾ ze sie zaczął do niej hycel zabierać, jak dopiero widzi, ze nie peć,⁶⁾ ze nie chyci, bo jo se nie dom w kasze dmuchać, tak obrucił kota do góry ogonem, i zaczął sie ją pytać o jakasik legimatycyją. O, ty smoku miljoński! — jobym ci tu doł legimatycyją! — A coż to?! una bydle, a jo ją przywiódem na jarmak, zeby miała paśport jak jako jałowecka abo ciele?!

— Honcwoty te policyjany!

— No, panie konwisorzu, skoro juzem wom wszyćko opowiedzioł do imentu,⁷⁾ jak noleży, wydejciez mi Kaśke, bo z cemże sie bede żyniuł, kiedy śpiytys na wesele przygotowany?

— Ale, pocóz jej jako legimatycyjo?! Dyć una z Węglówki, jak i jo. W tem

¹⁾ koło. ²⁾ obróć. ³⁾ zaczę uciekać. ⁴⁾ tyle.
⁵⁾ powiedział. ⁶⁾ że to napróżno. ⁷⁾ do końca.

cało dyferencyjo jest. W głowie mo wszystko dobrze posprzątane. ¹⁾ Żodno podeźrano osoba.

— A nie była pijano! broń Boże! (*tłucze się w piersi*) to godom jo... Szymek Groc, syn Pyrtuliny, od Dulnioka, z Kośmidrowej role...

— No, dyć dobrze! no, dyć dobrze! ale jo przez ²⁾ niej nie odjade. — To nie ma godki. — Jak będzie potra, *ś t r o f* zapłace, ale Kaśki tym smokom nie zostawię. Kto wie, coby z nią robili, i w tem jest cało dyferencyjo. — Jako pon konwisorz mówią? — to nie tu polcyjoooo? — A no to cóż? (*roxgląda się na strony*) Widze jakichsik cysorzów po ścianach powieszonych, dokrzyty myślałem, że tu polcyjo. No nie kora bosko?! — To tu *ś t a j r a m t*, ka ³⁾ podotki z ludzi ściągają?! — Raty boskie święte, a to dopiero dyferencyjo. — To pocóżeście mnie tak za język ciagli, a tam na mnie konie cekają. — Miljońsko biyda zjadła! ej, zjadła! — (*z rozmachem nakłada kapelusz na głowę i pospiesznie idzie ku drzwiom*) Żeby wos wszyscy djebli wzini!
(Zasłona spada)

¹⁾ nie jest warjatką. ²⁾ bez. ³⁾ gdzie.

Pechowiec.

Aleja obsadzona drzewami; ławeczki. Wchodzi mąż już nieco leciwy, z miną desperata, i z wielką ostrożnością nogi stawiając, podplera się — ciężko — laską. Badawczo rzuca wzrokiem za okularami naokoło, przystępuje ku ławce, długo się w nią wpatruje, próbuje palcem malowania, wyjmuje chustkę z kieszeni, strzepuje kurz, wreszcie podkłada ją sobie i siada. Wzdycha z ulgą.

— Może ta tym razem nie jest świeżo malowana i nie przylepię się do niej. (*kiwa głową długo i wymownie*) Człowieku!.. człowieku!.. kiedyż los przestanie cię prześladować?!... (*chce się zapiąć i zauważa brak guzika; xrywa się*) Okropność! znowu guzik diabli wzięli! a przecież dzisiaj mi go Małgorzata na odchodnem przyszywała. No, powiedzcie państwo, czy to nie pech?! — Jak Boga kocham! guzik ten był świeżo przszyty zaledwie przed pół godziną. Nić gruba, żeby na niej wolu można

było prowadzić do szlachtuza, jeszcze woskiem została wysmarowana, i tak nią guzik mocno przyszyła, że na tej szypule nicianej sterczał w górę jak wieża Marjaczka. No, i mimo to, już go niema. Pech! — jak Boga kocham — pech, i to pech kolosalny!

— Boże! Boże! za co mnie tak prześladowiesz?! Co ja przechodzę, to niktby nie uwierzył. Ot! niedawno, bo wczoraj; przychodzę, jak zwykle, na planty i siadam niedaleko Grażyny do słońca, bo to lekarz kazał mi jak najwięcej przebywać w blaskach słonecznych ze względu na ten łajdacki reumatyz, który mi rozgościł się na dobre w pedałach i zamienia je w trybuszony. *) — Staram się jak najwięcej kapać w światło, a tu przychodzi jakaś starsza pani, prowadzi chłopczyka za rękę i siada naprzeciwko. A ten jej chłopczyk, istny cherubinek, nie spoczął ani na minutkę, tylko ugania przedemną po deptaku, i to piłką podrzuca, to za obręczą goni, i wciągle staje między mną a słońcem,

*) grajcarki, korkociągi.

a tak fruwa, że wyraźnie wiatr chłodny czuję po twarzy z jego biegania. Staram się go nie widzieć, i zaciskam zęby, aby nie wybuchnąć z wściekłości, a widać zauważyła to jego mameczka, bo usiłowała przywołać go do siebie. Ten szelma ani myślał usłuchać i widocznie coś upatrzył sobie do mnie, bo zamiast odejść, wpatruje się we mnie, jak wół w zielone wrota, wreszcie wyjmuję z kieszeni jakąś zabawkę i garnie mi się palcami ku szyji. Powiada: pozwoli pan złapać pchełkę, bo się na nią przez mikroskop przypatrzę. — Zatrząśłem się cały z oburzenia i mówię mu: „idź do mamy!” — Niby odszedł, przywołany wzrokiem matki, ale ledwie oddychałem i zamrużywszy oczy, chcę nurzać się w poświacie słonecznej, czuję, że ktoś jeszcze z większym impetem przystępuje ku mnie i zabiera mi światło.

— Panie! pan jesteś impertynent! ja nie mam pcheł na zawołanie! Jeżeliś pan memu synkowi nie chciał ofiarować swojej, to wara ci odsyłać go po nią do mnie!

Wyrzuciła te słowa z sykiem jak gadzina i zdawało mi się, iż mnie oczami zje. —

Bogu ducha winien, stoję, kładę rękę na piersiach (*odpowiednie ruchy*) i pytam się zdumiony: „Ja... a.. a?!“ a ta jak mnie palnęła torebką swoją w kapelusz, to potoczył się on het poza ławkę, potem odbiegła jak furja. — No, proszę państwa, czy to nie pech?

Albo na tych imieninach Antosia. — Gwałtem mnie wciągnął do siebie, bo ja nigdzie nie chodzę, a szczególnie unikam towarzystwa, gdzie brząkają kieliszkami i gdzie są kobiety, bo to wtedy — proszę państwa — umysły podniecone, powie się coś i cała bieda. Zresztą żołądek mam kiepski, kichy jak galareta. Zniewola mnie coś zjeść, a potem — cierp, nieboże! Było tam gadania co niemiara; jak na imieninach. Toastowali, dowcipkowali, śpiewali, hałasowali jak na jarmarku. Baby jak sobie podchmieliły, coraz były weselsze i dokuczliwsze. Zaczęły rzucać na biesiadujących to skórkami z pomarańczy, to kulkami z chleba, jak nie korkami, a tak celowały do mnie sprawnie, że jeżeli dziś mam jeszcze oba oczy, to cud boski, bo mój cwiekier co chwila spadał z nosa. — W ogól-

nej rozmowie, zmałtretowanv takim postępowaniem, powiadam, że kobiety są zagadkami, bo to niby płeć słaba, ma pełno pretensyj, by ją nosić na rękach, i obchodzić się jak z jajem, a dokuczliwe to i śmiałe, że strach. — Siedzący naprzeciw oficjał sądowy, uniwersalny kibic babski, chorujący na dowcipnisia, na to moje odezwanie się parsknął śmiechem i zaczął przekręcać moje słowa, tworząc z nich kalemur. (*podrzeźnia*) „kobiety są zagadkami! pff“ — „za gadkami pff“ — „za gatkami są kobiety“ „pff“ i „pff.“ — Myślałem, że mnie krew zaleje, bo gdzie mi było w głowie powiedzieć coś tak ordynarnego? Jak to baby zauważyły, jak wzięły na kiel, jak chórem zaczęły się oburzać: „a ładnie! — to tak pan Piernikiewicz umie się znachodzić w towarzystwie dam!! a fe! a fe! i a fe!“ i nuż do mnie z pazurami, żem grubijan, ordynus, nie umię uszanować płci pięknej, ubliżam damom, ubliżam sobie, ubliżam solenizantowi... Straszne rzeczy! byłbym się pod ziemię schował. Wstaje, składam ręce, biję się w piersi, mówię: (*przeciągle*) „ja... a... a?!“ ależ, panie sza-

nowne, to miałem powiedzieć ja... a... a? ja... a... a...? — Groch na ścianę! Zahukali mnie wszyscy; kazali panie przepraszać, odwoływać, o mało co na kolanach się przed nimi czołgać, co miałem począć? — oblizałem wszystkim dookoła babsztylom ręce, rączki i gracie, i jak z krzyża zdjęty siedziałem potem jak mumja, milczący, zgaszony, coś do północy, bom się bał wyjść wcześniej, aby znowu mi tego za obrazę nie poczytano.

Tak, moi państwo. Po tym wypadku, wychodząc od Antosia, mówię do stróża, który drzwi za mną zamykał: — „masz przyjacielu, zapalki?“ — „mam“; — „to daj!“ — Dał mi pudełko. Wsunąłem mu w łapę złotego i myślę sobie: trza się otruć! Ja tej hańby nie przeżyję. — Przeszedłem do mieszkania, zeskrobałem z zapalek wszystkie główki, pomieszałem z wodą, wypilem i ułożyłem się w łóżku; raz kozie śmierć! — Pomodliłem się gorąco i szczerze, przeszedłem myślą cały swój żywot i utwierdziłem w przekonaniu, że taki pechowiec, jak ja, nie mógł nic lepszego zrobić, jak życie sobie odebrać.

Czekam więc cierpliwie końca. Nie pamiętam, jak to długo trwało, ale w każdym razie dość długo, nim uczułem w żołądku jakieś wzburzenie i niedolegliwości. No, myślę sobie: bratku, coś chciał, to masz. Twój koniec się zbliża. — Wzdęcie to potęgowało się z każdą chwilą, serce poczęło mi się tłuc w piersiach, tchu w nich zabrakło, wreszcie churgotanie w żołądku wywołało następnie jakieś wściekłe wiatry, żem myślał, że zostanę rozdarty na kawałki. — I co powiecie, moi państwo! — na tych wiatrach się skończyło.

Rano sprawdziłem po pudełku, że ów stróż zamiast siarników dał mi zapalki tak zwane „wiatrowe“, to jest do zapalania na wietrze, i taki był wynik mego otrucia.

Czy to nie pech prawdziwy? co? — czy to nie pech? — Okrutny losie! za co mnie tak prześladujesz?!

Takie nieszczęśliwe wypadki są u mnie na porządku dziennym. Gdzie się ruszę, wlecze się za mną ta smoła i przyprowadza do ostateczności.

Oj, Boże! co ja przechodzę, a że żyję jeszcze, to także pech jeden więcej. (*łapie*

się za guziki u palta) Ale gdzie ja ten guzik zgubiłem? — Muszę wracać tą samą drogą, może go najdę i dam Małgorzacie do przyszycia.

Albo i ta Małgorzata!.. czy to także nie nadzwyczajne wydarzenie? — Państwo nie wiecie, skąd przyszedłem do jej posiadania? — Zaraz krótko opowiem.

Było to w Swoszowicach przed dwoma laty, gdzie brałem kąpiele na mój wściekły reumatyz w nogach, chociaż kichy już i wtedy miałem kiepskie, a żołądek to m się zdawało, że go włokę po ziemi, tak byi zawsze rozdęty. — Pech, pech, i koniec.

Otóż po kąpieli siedzę na ławeczce, w słońcu i grzeję się. Jakaś kalafarnia siedzi naprzeciw i zarówno używa kąpieli słonecznej. Po deptaku zaś goni jakiś chłopak, może trzyletni, za obręczą. — Patrzę w powietrze, jak motyle górą igrają, jak wróble na kasztanie tłuką się o samieczkę, i czuję jak błogość jakaś zalewa mi całe serce. — Wtem przebiega koło mnie ten pędrak i paple: „tatie! tatie!“ — Potem bieży dalej. Nie zwracam na to

wiele uwagi i uśmiecham się pod nosem do owej wróblicy, którą obścapił konkurenci i czubią się między sobą, aż pierze leca, a tu znów obręcz owego smarkacza wpada mi między kolana, a za nią chłopak zgoniony, czerwony od wysiłków, z nosem ulakierowanym, i paple znów: „tatie! tatie!“ — Cieczą z pod nosa ociera się o me ubranie. Oburzyło mnie to i lekko odsunąłem go od siebie. W oka mgnieniu przylatuje na to owa kalafarnia z przeciwnej ławki i tyrczy koło uszu jak karabin maszynowy, kiedy został ręką strzelca w ruch puszczony: — A! to pan?! — poznaję cię wreszcie! — to tak robią uczciwi ludzie?! — uwiodłeś niewinne dziewczę i porzuciłeś! dopiero głos krwi, zbudzony w dziecięciu, wskazał cię, hultaju! — teraz mi nie ucieczesz!! — Chodź, uwodzicielu! albo zawołam policji i każę cię aresztować!

I to, powiadam państwu, tak terczy mi za uszami i terczy dobry kwadrans, trzymając jednocześnie za ramię i nie pozwalając opamiętać się i przyjść do słowa. — Smarkacz jej zaś łapie mnie za nogi, ta-

muje jeszcze więcej swobodę ruchów i ciągle powtarza: „tatie!“ i „tatie!“

— Kobieto! czego się mnie czepiasz? — Zwarzowałaś?!!

— Co?! ja zwarżowałam? — ten uwodziciel, którego poszukuję lat cztery, myśli, że dam się mu znowu wypłatać i uciec? — O! nie! — to ci się już nie uda! — Już raz zrobię z tobą koniec, uwodzicielu!

— Co? — ja... a... a? — ja... a.. aa? — Chcę tłumaczyć się jak mogę ale wszystko nadaremnie. Baba wywołuje coraz większy hałas, przychodzi policjant, i po wyjaśnieniach robi pomiędzy nami chwilowy rozejm. Kalafarni daje mój adres, by sobie na drodze sądowej poszukiwała pretensji, a mnie wyswobadza z uścisków tej megery. Jakby wściekła, porwała na ręce swego smyka i grożąc mi pięścią — odeszła.

I co powiecie państwo? — skarżyła mnie do sądu o ojcostwo i o alimentacje! — Jak Boga kocham! — Człowiek Bogu ducha winien, i nawet — mówiąc między nami — nie do tego, bo to i reumatyz w nogach, i nerwy zbytciem zażywaniem bromu zniszczone, kichy popsute,

żołądek jak sito, więc gdzie soki żywotne w takim człowieku? gdzie — tego owe-
go — ? — Nawet mi w głowie nie były podobne bisztyfranty! jak mnie tu państwo żywego widzicie! Do niczego się nie poczuwając, nawet na wezwanie nie stawilem się do sądu, i to mnie zabiło, bo zapadł wyrok — na moją niekorzyść — w zao-
czności. Ta kalafarnia — poszukująca sprawcy swej niedoli — zaprzysięgła, że pośród jakiejś ciemnej nocy ktoś podobny do mnie jej cześć naruszył, głos krwi odezwał się w Swoszowicach pod kasztanami u dziecka do swego ojca, no, i zasądzili mnie na płacenie 20 złotych co miesiąc na koszt utrzymania owego bękarta, oraz na zwrot kosztów procesowych. Mój adwokat wnosił różne rekursy i odwołania, no i... przegrałem. — Małgorzata zwyciężyła na całej linii.

Tak! tak! prawdziwy pech. — Więc myślę sobie, jeżeli już tak losy zrzędziły, to niech owa, rzekomo przezemnie unieszczęśliwiona, Małgorzata sprowadzi się do mego kawalerskiego mieszkania, i za owe 20 zł, które jej płacę, kuruje mi kichy

i przyszywa guziki do garderoby. No, i mam odtąd tę kalafarnię w domu. Mam. Czy to nie zabawna historia? co? — Może się kto pochwalić większym pechem odemnie? może?! — jestem pewny, że na całej kuli ziemskiej nie znajdzie nikt większego odemnie pechowca. No, i tak dźwigam to jarzmo smoły na swoich barach od kolebki do grobu, któren — jak sędzę — jest już niedaleki, bo kichy z dniem każdym coraz więcej wypowiadają posłuszeństwo, a reumatyz gwałtem pcha się w stronę serca. Przyjdzie raz taka pechowna minutka i kaput! Pan Piernikiewicz przeniesie się w światy astralne. — At! to los takiego człowieka, jak ja! Tak, tak, moi państwo! — pech mnie straszny prześladowuje.

Ale gdzie ja ten guzik zgubiłem?! — Muszę go poszukać, a pechowa Małgorzata niech go przyszyje, byle znów nie tak pechowato, by znów wnet odleciał. — *(schyla się ku ziemi, jakby upatrywał guzika po drodze, i ciężko suwając nogami, odchodzi, pomrukując)* Pech! pech! pech!

(Zasłona spada)

Ognisko domowe.

Na scenę wpada raptownie podpity „obywatel“, (pierś ozdobiona medalami wojskowymi,) i lekko zataczając się i kiwając, grozi palcem komuś niewidzianemu.

— Nie popychoj! gędom ci, kobyle dziecko: nie popychoj, bo jak puszcę gaz trujący, to zdechniesz w oka mgnieniu! (*czkawka*) Żem sobie troche podchmieluł, to nic dziwnego, bo to niespokojne czasy, militaryzm u steru! drożyzna! strach!

Chwila była osobliwo! — Kobieta przypuściła mi do głowy atak gorkiem, więcem zrobiuł defenzywę i ognisko domowe puściułem kantem. (*czkawka*)

Ognisko domowe! żeby cię pierwszy granat nie minął! (*kiwa głową rozpaczliwie*) Taka mi się śliczna przyszłość zapowiadała i mosz! — Nieboszczyk ociec, jakem sie tylko urodziuł, to sie spłakoł z uciechy, jako iżem jedynok i chcioł, żebym był

konwisorzem. Ale żem nie zdoł matury w czwartej klasie pospolitej, więc mnie oddoł na kominiarza. (*czkawka*) Chwila była osobliwo! — No, i kto wie, jakby jeszcze mną pokierował, żeby nie umar. Wypodek ten do krzty obrzydził mi życie, i żeby nie matka, tobym zeszedł na psy. Ale una, — ta święto niewiasta — jakem tylko po wojnie wrócił do domu, stanyła przy mym boku, i mówi do mnie: »Wiesz Florek! — do choroby ciężkiej — uwożosz! ożyń sie! co bedziesz tak baki zbijoł i ciągle tylko cudze kominy wymiatol? Rozpol se jakie ognisko domowe odpowiedzialne, żebyś miał własny dom, własny ką, własny komin, i tam dalej. Bo to widzisz, mój synie, lepiej jest ożynić sie, jak sie całkiem nie żynić, bo staremu kawalerowi to wszędzie źle, a żyniatemu to ino w domu«. Hm. chwila była osobliwo! (*czkawka*)

Długo medytowałem, nimem wyszukoł poukt strategiczny, bo to rozdmuchać ognisko domowe nietrudno, ale w tem sens, żeby wytrwać na stanowisku, i mieć tyły zabezpieczone. No, i puściłem w świat patrol wywiadowczą, jo w jedne stronę, a matka

w drugą stronę, ale sytuacyjo była ciągle niezmieniono.

Tak jo mówię: wiesz, matka, do cholery ciężkiej! cóż my będziemy tak lizać konfitury przez szybę; trza odrazu położyć rękę na pulsie życia! Chyci, to chyci! nie chyci, to znowu inksza para starych kaloszy, ale próba fraj!

Mioł w Makowie na hinterlandzie majster Wycieradło córkę Barbarke w som roz dło mnie z domowem ogniskiem, bo to i front był u niej jak się patrzy (*pokazuje na biodra*) a i tyły były u niej dobrze zabezpieczone a przytem pończoszkę z grajberami uciulała jak pięciofuntowo armata. A jakie Dardanele!

Więc ubrołem sie w anglik czorny, krawatę z fontaziem feldgrau wypuściłem na wiatr, żeby wiedziała, że z wojkowcem mo do czynienio, lakiery podkute żelaznymi bezecami, obcas na gumach, kapelusz »Kastor Polus«, czy jak sie ta nazywo, i bajonet auf! marś!

Chwila była osobliwo!

Przychodze: włosy wypomadowołem, flache perfunów wlołem do kieszeniów, żebym

pochnuł jeszcze bardzi więcej, no, i dzieusze odrazu w ognisku domowym zrobiło sie gorąco, i kaźden poznoł, żem jej na pierwszy angryf oka zachwioł frontem. Puszczom pawia do choroby ciężkiej, komplementy gwizdają kole uszów, jak japońskie szrapnele, a ociec panientki egzaminuje mnie tam o kominach przełazowych i cylindrowych. Jo mu basuję o ślongach i ekstrakugu, a kapileusz »Kastor Polus« kładę na stołku.

Panientka sie rumiankuje jak zorza, przynosi lukier w karafeczce jeszcze przedwojenny, ciosteczka z prowdziwej nulk, jakiś nugat z powidłami, siadomy podle stołu, a pon majster chlap! na moje cylandro. — »Kastor Polus« poszedł w kawki. Hano! już sie cofnąć nie mógł, i zaroz w ten sposób uzyskałem piekny sukces. No, i co tu wiele godać? Zaroz my sie zaręczyli, a za styry tyźnie ślub i ofenzywa na całej linji jak sto djeblów. — Ognisko domowe zaroz przywiózem se do domu i zaczynomy w nim robić podróż poślubną. Ale — do choroby ciężkiej — to nie była kobieta w ten deseń, coby mi śpilowała

do kramu. Chciała mnie ciągle musterować jak pierwszego z kantu landsturmoka-pokrakę, a to sie nie do. To trudno; człowiek nie z jednego pieca jod chleb i nie jeden komin wymiałoł. Jeszcze miodowe miesiące nie przeszły, i na nowem stanowisku się nie utwaliłem, a już my sie prali jak z nut. I nie ustąpiłem. Jak Boga kochom! Cóż to?! tako Makowionka bedzie mnie za nos wodziła?! — Co to — to nie!

A o głupstwo poszło. Niby o klucz, bo una chciała mieć klucz i od kasy i od domu, a mnie tylko zostawiała kluczyk od zegarka. A niech cię pierwszy granat nie minie! Kajne rejde! Nie chyci! Ciężkie czasy przeżywomy! I jo mom swoją orjentacyje! Pore razy zeprołem ją pierońsko. Ale una nic. Nie chciała rajterować, więc się lepijy ubezpieczyłem na roz zajętym stanowisku, i puściłem na nią dzień w dzień »tromelfajer«. Una jeszcze nic, ale powoli, powoli zaczyna kawęczyć, zaczyna łeb zwiyszać, a jo nic, nie ustępuję, telko robię coroz to nowe ugrupowanie sił i d a k a p o! Tak jej rura zmiekkła, telko od tego czasu jo znów zacznem podupodać na zdrowiu

i jakiś chrobok na wnątrzu poczał mnie coraz więcej gryźć. Do choroby ciężkiej! radzę się tu owdzie, wszyscy: »trza chroboka utopić«. Ano zaczonem go więc podlewać rumem. Jeden tydzień — drugi, — nie pomogo. A możeby tak samym śpiy-tusem? I to nie. Hano, to denaturowanym? I to nie. Bestyjo nauczuł sie pływać. Jo pije, a un gryzie furt do choroby ciężkiej.

I takie jest moje domowe ognisko.

Bedzie temu pore niedziel: jo robie tualete, aby iść rozglądnać sie w sytuacji poletycznej, a una sie uparła, że nie. Zadekowała mi czopke pod siebie i nie chce puścić. Zaczyno sie szarpaczka, angryfy, wilcze doły, miny, podchodzenia, pertrakta-cyje pokojowe. Nie i nie.

— Nie?

— Nie!

Cierpliwości mi brakło i wziętem w rękę gracę i zrobiłem z niej miotacza min. Przypodkowo wybiłem jej dwa zęby na froncie; zaczyna jojczeć, a jo łap za czopke.

Chwila była osobliwo.

Odeszła mie do ojca i zaskarżyła przez adwokata. — Nie szkodzi. Sędzia sie mnie

pyto: »jak ty, człowiecze, mógłś wybić żonie zęby?« Co za głupie pytanie! Słyszane to?! — Panie sędzio! — mówię — do choroby ciężkiej! — niech no mi ponie zawraco mitrajlezy. Panie sędzio — jak kto chce, to wszystko może. — Sędzia się rozsierdził i wraził mi tydzień kozy. A było to akurat w poniedziałek. Hm! myślę sobie: źle się ten tydzień zaczyna i poszedem zająć chroboka i tak topię go już osim dni. — To trudno! Jo nie ustąpie! Bedziemy widzieć, kto wytrzyma. Czy chrobok, czy jo. Tak! »E n t w e n d e r o d e r«! Albo kapucyn, albo ksiądz Filedor z Kopytkowa. (*grozi pięścią*) Wojna, to wojna! Żeby cała koalicjo i wszystkie (*pokazuje na publiczność*) tu zgromadzone naturalne* państwa i niepaństwa chciały na wszystkich frontach ze mną wojować, jo się nie dom i nie ustąpie. Nie pomoże mój napór sił zjednoczonych, to gazy trujące będę puszczoł.

A z ogniskiem domowem, niby moją Barbarką, do bani olejowyj! Koleczasty drut

* Neutralne.



między nią a sobą postawię i pitnoście nie zdobytych pozycji strategicznych. Niech wie z kim zadarła i komu wypowiedziała wojne — do choroby ciężkiej. Wszelkie rokowania pokojowe są wykluczone! — Niech ją pierwszy granat nie minie i koniec!

Adiu! pa! (*ukłon, czkawka — zataczając się, grozi komuś niewidzianemu:*) Ko-
byle dziecko, nie popychoj! nie popychoj!...

(Zasłona spada)

Chczało sze Ryfke jagódek.

Ballade argentyńskie.

Chczało sze Ryfke jagódek,
Kupicz ich za co nie miała,
Srul miał ich pełno w ogródek,
Ale go prosić nie chciała.

Kochał i Srul ją okropnie,
Kłał jej sze na to głęboko:
»Niechże mnie w serce gęsz kopnie,
Cobym tak złamił se oko!«

Raz, gdy tygrysy spać poszły
I moszadz wilazł na górze,
Ryfke w flanelne watówki
Wisła na swego podwórze.

Bez płot fiknęła se z nogiem,
Mach — szach — czach i już se hula,
Chodzi po całe ogródek,
Co baron Hirsza dał dla Srula.

Na wielgie krzaki liszczaste,
I tak, jak szarke żółczyste,
A takie duże jak dyszel,
Rosły jagody soczyste.

Ryfkie nie wiele miszlący,
Zaraz do krzaczkie przypadła,
Dyszel ten wzięła do ręce
I wszystkie jagód objadła.

Z okna to Srulek obaczył,
Na gwałt ryknął co szyły:
— Ganef!.. di ganef!.. kim haje!..
Stał sze harmider niemiły.

Z południa, wschodu, zachodu,
Jakby krakowskie poczagi,
Tak szybko żydki leczyły,
Z armate, pałasz i dragi.

Buło latarni bez liku,
I szabasówki, pochodnie,
Bo żydki chciały zobaczycz,
Kto zrobił w Srula dom zbrodnie...

Jak przyszły wszystkie w ogródek,
(Nie bite były wszak w czemie)

To zobaczyły — co Ryfke
Leżała sobie na żemie...

I tak gadała do Srula:
— »Srul!.. ty mi przykroszcz nie zdwajaj,
I tak dostałam boleszczów
Takich boleszczów, co... aj, aj!

Ja z tego dyszel żółczyste,
Co to żelone ma listkie,
Wibrałam wszystkie jagody
I w brzuch włożyłam je wszystkie!«..

Tu Mojsze, Chaim i Aron,
Wszystkie, co były tam żydki,
Jak sobie szmiacz sze zaczęły,
To aż popuchły im łydki!

Srul stał na boku i szmiał sze,
Aż go bolało kolano,
I wszystkie razem sze szmiały,
Bez cały moszadz — do rano!

Jak rano przyszyły — ujrzały,
Co na wysokiej łodydze,
Co sze nazywa »zab koński,«
Brak jeden dyszel »kukrydze«.

Ryfke surowe ją zjadła,
Z tego boleszczów tych miała,
A potem jeszcze, co gorzej,
Pypcze na język dostała...

Felczer nie było tu żaden,
Miasto był wszędy daleki,
Więc ją na okręt przysłali
Aż na... Każymirz, na leki...

I una szedży tu sobie,
Przyszła do dawnej urody,
Do Argentyny iszcz nie chce,
Bo tam niedobre... jagody.



947700/2778

W 30-

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

Urzeczona. (Biblioteka powszechna.) Złoczów 1892.

Figowe liście. Lwów 1892 (skonfiskowane).

Pan Burmistrz z Wielkich Kozłowiec. Krotchwila w 2 akt. Poznań 1926 (II wyd.)

Monologi. Zeszyt I i II 1915 (II wyd.) III i IV 1916 (II wyd.) V (II wyd.) VI 1928 Poznań.

Baraszk. Garść zabawnych facecji i żartów. Poznań 1910.

Kwiat paproci. Obrazek ludowy ze śpiewami i tańcami. Lwów 1916.

Krajowe wyroby. Krotchwila w 3 aktach. Lwów 1910.

Zrękowiny u Druzgały. Obrazek ludowy ze śpiewami. Lwów 1920 (II wyd.)

Pan Grajcarek idzie w kumy. Obrazek ludowy ze śpiewami. Lwów 1920 (II wyd.)

Lustracja u pana wójta. Obrazek ludowy ze śpiewami. Lwów 1920 (II wyd.)

Jagusia płacze, śmieje się Jaś. Operetka 1 tom. Lwów 1921.

Nasi jada! Epizod z r. 1809. Lwów 1921 (I wyd.)

W gospodzie „Pod sroką“. Obrazek ludowy ze śpiewami i tańcami. Lwów 1922 (II wyd.)

Kukusia podlotkiem. Farsa. Warszawa 1922.

Biblioteka Śląska

168565

I

Kozłowski
Włodzisław
Moneta
„Gdańsk”
ci

Wiosna na Podhalu. Obrazek ludowy ze śpiewami i tańcami. Lwów 1925.

Dziwna przygoda. Obrazki i nowele. Przemysław 1925.

Ofensywa zalotników. Obrazek ludowy ze śpiewami i tańcami w 2 akt. Lwów 1926.

Pod obuchem pruskim. Obrazek z niedalekiej przeszłości. Poznań 1927.

W PRZYGOTOWANIU:

Monologi. Serja VII.

Zakładajmy spółdzielnie! Obrazek ludowy ze śpiewami.

„Cudok“. Obrazek ludowy. (Ciąg dalszy „Zrękowin u Druzgały“.)

Przewoziny. Obrazek ludowy.

Z turoniem. Obrazek ludowy.

Mamuty. Farsa w 3 aktach.

Śmiech na sali. Humoreski premjowane na konkursach.

Piosnka pana Fortunata. Operetka 1 a. tłomi.

Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000615258



I 168565/6